

# Trzy rzuty beretem

„Ty tu nie wejdiesz” – usłyszałem i ciężka dłoń zatrzymała mnie w połowie drogi do restauracji czterogwiazdkowego hotelu Rzeszów. Portier nieprzyjaźnie patrzył na nabijaną ćwiekami czarną kurtkę, którą z powodu chłodu pożyczyłem od znajomego punka. Od słowa do słowa i powiedzieliśmy sobie wszystko. Zażarty spór zwiędziło zdanie: „Jak ja jestem cieć, to ty jesteś śmieć, dzwonię na milicję!”

Tego typu komplikacje są zazwyczaj nieatrakcyjne, a więc za pomocą siły i godności osobistej wycofałem się na z góry upatrzone pozycje. Jednak wejść do hotelu musiałem, bo głód wraz z mrozem przyciskał, a na dziedzińcu czekało ciepłe łóżko. Przyjaciele w biedzie pomogli i wtargnąłem do czterogwiazdkowca w „przebraniu”. Cienką ortalonówkę na kark naclągałem, okulary schowałem do kieszeni, czapka-uszatką twarz zakryłem, a przyjaźnie nastawiona dama złapała za ramię. Tym sposobem cel został osiągnięty i mogłem spędzić dwie noce w Rzeszowie.

Ten już przydługi wstęp nie służy rozpętaniu ogólnonarodowej dyskusji o rodzimym hotelarstwie lub tolerancji. „Koń jaki jest, każdy widzi” i nie trzeba bezsensownie kruszyć kopii. Zresztą przyjechałem tu w zupełnie innym celu. Dlatego stojąc rano jak każe tradycja tego miasta pod pomnikiem, przypominającym w najlepszym wypadku przepołowiony banan, myślałem o ważniejszych sprawach.

Jak wszystkim wiadomo brać studencka zafundowała sobie VII Festiwal Kultury Studentów PRL. Tym razem całość rozpisano geograficznie i czasowo z komputerową dokładnością. Do redakcji dotarł nawet folder imprez mających się odbyć w całym kraju. Niestety nie przeczytałem do końca, bo zbyt gruby i zbyt teoretyczny, a ja cenę praktykę. Dlatego też na wieść o tym, że w Rzeszowie studenci będą „robić” jednodniową kulturę wsiałem ochoczo w autobus dalekobieżny.

Zrobiłem to z tym większą ciekawością, że rzeczono miasto stało się w krótkim czasie nieoficjalną stolicą polskiego bluesa. Stawiał tutaj pierwsze kroki Tadeusz Nalepa i jak dłużej potrwa fascynacja jego aktualną twórczością to możemy ocenić w zbiorowych pielgrzymkach do miejsc noszących ślady mistrza. Nie wiem, czy przypadkiem kompetentne władze nie powinny pomyśleć o wyasygnowaniu pieniędzy na pamiątkową tablicę. Tyle się wszak mówi obecnie na wysokich szczeblach o potrzebie wytworzenia dla młodzieży godnych naśladowania autorytetów. Po co szukać „Dziadek” Nalepa jest

pod ręką, na dodatek z charakterem ojca i nauczyciela. Niestety trudno posądzać administrację o aż taką elastyczność, „syndrom portiera” jest jej na pewno bliższy. Tym większa chwała rzeszowskiemu studentom, bo „przezuli pismo nosem” i dwa lata temu, gdy Franciszek Walicki nie marzył jeszcze o spotkaniu „dinozaurów” w Sopocie, spowodowali w ramach „Rock Galicji” wspominkowy koncert „Breakout wraca do domu”. Głośno było o tej imprezie w całym kraju i miasto stało się na dobre mekką Tadeusza brzmienia. Studenci zaś roztoczyli opiekuńcze skrzydła nad wszystkimi co już w miarę precyzyjnie trafiają w gitarowe struny. Nie zapomnieli przy tym o

„Art” poszedł na całość i zdopingowany powagą wytycznych programów VII Festiwalu Kultury Studentów PRL zaserwował przekrojowy maraton. Aby pomieścić w jednym miejscu wszystkie propozycje został wynajęty budynek Filharmonii Rzeszowskiej. Trzeba przyznać, że obiekt godny pozazdrożczenia. Tylko czy w pełni wykorzystywany na co dzień? Tego typu wątpliwość potwierdzali prawie wszyscy zagadnięci i trudno im nie wierzyć. Zwłaszcza, że w przeddzień „Alma-Zartu”, największej od miesięcy imprezy kulturalnej w Rzeszowie, miejscowy dziennik „Nowiny” nie zamieścił o niej nawet krótkiej wzmianki. Zaskakująca to obojętność lub efekt



trajekcyjny program były największym magnesem oraz reklamą.

Zgodnie ze studencką tradycją imprezę zapoczątkowała poezja mówiona i śpiewana grupy literackiej „Draga”. A potem „maszyna” rozkręcała się coraz szybciej i jak z rękawa sypano podarunkami. Najwięcej emocji wywołał koncert rockowy gromadzący czołówkę „bieszczadzkich nowofalowych kapel”: Noah-Noah, 1984 i One Million Bulgarians. Tym dwóm ostatnim można śmiało wróżyć nie-

serwowano kuluary, gdzie nadzieć się nie było sposobu. Z każdego kąta wyzierała jakaś propozycja. Rozśmieszała do łez wystawa rysunku satyrycznego Henryka Sawki. Do refleksji nad przemijaniem zmuszała ekspozycja studenckiego plakatu kulturalnego z lat 1956–1982 oraz studenckiej prasy Rzeszowa. Nie zabrakło również resztek sławnej wystawy fotograficznej Marka Karewicza „Breakout wraca do domu”. Organizatorzy mieli nadzieję, że mistrz obiektywów dotrze na



Największa nadzieja rzeszowskiej nowej fall — One Million Bulgarians.

zbytowanego punkach i odjazdowych nowofalowcach. Jednym słowem zapanowała zgoda z ogólnonarodowym porozumieniem, gatunkowa demokracja.

Jechałem więc do Rzeszowa przekonany, że zapowiedziana na piętnasty dzień marca impreza „Alma-Zart” ograniczy się tylko do rocka. Miłych rozczarowań nigdy jednak dość. Miejscowy „Alma-

wygodnego jak zawsze marazmu.

Ta obojętność nie dotyczyła publiczności szturmującej drzwi Filharmonii. Jeden z występujących muzyków patrząc na zgromadzony tłum zauważył ze zdziwieniem „Nie wiedziałem, że tylu ludzi mieszka w tym mieście”. Ta anegdotalna uwaga nie była daleka od prawdy. Niska cena biletów (300 zł) i a-

złą przyszłość, jeżeli nadal utrzymają tak dobrą formę jaką zaprezentowały na zeszłorocznym Jarocinie. Nie zabrakło też oczywiście bluesa w wykonaniu Trój harmonijkowego oraz grupy CV-3 i Sagittarius. Powiało radośnie Tadeuszem Nalepą.

Ci, którzy z powodu srogich przepisów bhp nie zmieścili się wśród miłośników rocka na małej sali za-

„Alma-Zart”, ale bawili własnie w Szklarskiej Porębie na obozie zaprzyjaźnionej z ZSP organizacji młodzieżowej. Podobno wyjechał stamtąd lekko zdenerwowany. Nie udało się również zapowiadana wystawa plócen Zdzisława Beksińskiego. Niech żywi jednak nie tracą nadziei, bowiem „Alma-Art” słowa dotrzymał i już 4 kwietnia mieszkańcy Rzeszowa ujrzą twórczość te-

kontraryjnego malarza. To będzie prawdziwa sensacja, bo ponad połowa prezentowanych plócien pochodzi ma z kolekcji prywatnych. Wystawie towarzyszyć ma nagrany techniką wideo wywiad z Beksińskim.

W kuluarach Filharmonii Rzeszowskiej można było też wydać dużo pieniędzy. Otworzono stoiska z książkami wydawnictwa „Alma-Press” i kasetami „Radia Pomorze”. Słukanych pocieszało mimo to, przypominając o niskiej wartości pieniądza. Pawił też, pierwszy od czasu wojennego, kabaret klubu „Labirynt”.

Dotychczas wymienione atrakcje przygotowywały do finału czyli widowiska „Próba Generalna”, mającego podsumować dotychczasowe osiągnięcia środowiska studenckiego. W programie „Alma-Zartu” wykonawcy i organizatorzy żarliwie zapewniali: „Proponujemy rozmowę o najważniejszych problemach naszego pokolenia — wewnątrz organizacji, wewnątrz środowiska studenckiego, zapraszamy do rozmowy starsze pokolenia. Nasze spotkanie w Filharmonii jest elementem takiej rozmowy.”

Obserwując ucieczkę niektórych oficjeli z koncertu finałowego, spowodowaną niechybnie zbyt głośnymi dźwiękami, obawiałem się, że do konstruktywnej rozmowy może nie dojść. Obym był tylko fałszywym prorokiem. Dlatego zmudnie wymieniając punkty programu, chciałem ukazać bogactwo możliwości tkwiących w rzeszowskim środowisku. Oby ktoś z decydentów to dostrzegł i uczynił przychylniejszą minę. Wszak brakuje w tym bluesowym mieście klubu z prawdziwego zdarzenia, mogącego pełnić funkcje klubu środowiskowego. Brakuje również pieniędzy na działalność, ale do tego można się przyzwyczaić nucać pod nosem stary szlagier: „Student zebrał, ale pan”. A więc „Alma-Art” specjalnie o nie nie zabiega, zarabując uparcie na siebie. Dotacja jednak zawsze się przyda, bo od przybytku głowa mniej boli. Zwłaszcza wtedy, gdy tkwią w niej coraz lepsze i śmielsze pomysły.

Po finałowym koncercie, wśród pospiesznie demonstrowanego sprzętu rozmawiałem z organizatorami. Jeden z nich oenił „Alma-Zart”: „My tu liczymy odległości i powodzenie na rzuty beretem. To co po miesiącu ciężkiej pracy przed chwilą zakończyliśmy, oceniam na trzy rzuty”.

Surowa ocena! Być może, że przy następnej imprezie beret będzie latał dalej, a ja nie usłyszę w hotelu sakramentalnego: „Ty tu nie wejdiesz”. Tak na marginesie muszę dodać, że z czterogwiazdkowców wyprazniano mnie wielokrotnie lecz tylko z powodu braku krawatu. Podróże jednak kształcą i od dzisiaj noszę przepisywany beret z antenką. Drugi, zapasowy, rzucam na biurko rzeszowskiemu decydentowi. Niech łapia, za rok usłyszę pewnie o dziesięciu rzutach.

Fot. J. LINDER